

Katarzyna Woydyło

## 3 opowiadania

### Zdążyć przed świtem

Trzeciego dnia A. powiedziała, że spadła ze stogu siana, coś w niej chrupnęło i właściwie od tego momentu przestała żyć, a zaczęła egzystować.

„Może innym życie kończy się tak od razu – przema-  
drzała się dwa lata później z plamą po śledziach na brodzie –  
mnie kończyło się jednak ono powoli”. „Nie to, żebym  
nie czuła, że powoli umieram. Czułam, a jakże”. W tym  
momencie wyliczyła wszystkie żyjące, a następnie nieży-  
jące osoby, którymi otaczała się, gdy sama była w pełni sił  
i potem, gdy słabła. Na końcu przekreśliła wszystkich spr-  
awiedliwie rozdzielonym prychnięciem, a wtedy kropelki  
śliny przysnęły z jej ust i poplamiały odświętną koszulę, którą  
dla niej ubrałam. Przyznała, że ostatecznie i tak mogłaby  
umrzeć głupią, bo dała się nadchodzącej śmierci oszu-  
kać, omamić, ale co dalej – nie usłyszałam, bo pospiesznie  
zatkalam jej usta resztą chleba, a ona odpłynęła spojrzeniem  
ponad mury domu pomocy społecznej.

Patrzyliśmy pozornie w tym samym kierunku, jednak  
każda z nas wypatrywała w oddali czegoś innego. Mimo  
że życie uwierało nas wtedy w odmienny sposób: mnie  
wystającym drutem stanika i odcinkiem serialu, na który  
miałam się spóźnić; ją bezwładem w rękach i przydługim  
oczekiwaniem na śmierć – każda z nas wystawiała się  
na wymyśloną przez siebie próbę siły. Ja powstrzymywa-  
łam się cały czas od tego, żeby wyjść, nie otrzeć A. nawet  
podbródka i nigdy nie wrócić. Ona, żeby dawkować mi  
swoją opowieść o umieraniu i nie wysypać się ze wszyst-  
kich szczegółów naraz.

Robiła tak od samego początku, czyli dnia, kiedy śmierz-  
dząca potem wysiadłam z autobusu za wcześnie, bo pomy-  
liłam przystanki. Trzy kilometry później z przekleństwem  
nałożonym lepkiem błyszcznikiem na usta wpisałam swoje  
nazwisko do grubej książki odwiedzających. Nie miałam  
wtedy przy sobie nic więcej poza okresem, zmęczeniem  
ostatnią klasą szkoły, gorącem i bólem, który pulsował  
w podbrzuszu, odbijał się od pleców i wracał. Przede wszyst-  
kim zaś nie miałam pojęcia, dla kogo tu przyszedłam, komu  
chciałam dać odrobinę zbawienia, skoro sama ledwo stałam

na nogach. Wiedziałam, że jeśli nie zamknę się w toalecie,  
na spodniach pojawi się plama, tyle że ona nie wyschnie  
jak ta od potu na bluzie. Kreśliłam więc datę obok nazwi-  
ska, ale myślałam o czerwonym wykwicie, którego będę  
od teraz cały czas dotykać, sprawdzać, czy nie zdążył uro-  
snąć, a zanim dotrę do toalety, nabiorę pewności, że widzą  
go wszyscy, których w drodze do niej minęłam.



Amelia Popescu / PLSP w Supraśl

– Nowa wolontariuszka?

Wolontariuszka brzmiała w ustach dyrektora jak starszuszka. Jeszcze chwilę wcześniej tętniło pomiędzy moimi nogami życie, a w jednej sekundzie byłam już stara. Oczy szczypały mnie od jego oddechu, który był przedłużeniem spożytej bagietki z czosnkiem, a kiedy odwróciłam głowę, chciało mi się płakać już głównie dlatego, że nie byłam pewna, co właściwie do mnie powiedział. Pewnie odpowiedziałam, że nie wykluczam, że jestem tu pierwszy i ostatni raz, a on udał rozczarowanie, nie ukrył za to przekonania, że tak właśnie będzie.

– Proszę wybrać jednego z nich. Wszystkim pomóc się nie da.

Usłyszałam wyraźnie i zaczęłam od poszukania pomocy dla siebie.

Nie każdy pokój jest pokojem z osobnym kibelem, tylko specjalne przypadki mogą liczyć na akt najwyższej łaski, na bezcenną prywatność. Można by teraz pomyśleć, że nie wiem nic o jej braku, bo to nie mnie ktoś spieniał ciało uczulającym mydłem, a potem testował na plecach temperaturę wody tak długo, że ciało drżało, a skóra na długo po tym swędziała. Znałam to z opowieści A., właściwie słyszałam to od niej już tyle razy, że i moja skóra swędziała od tego w miejscach, których wcześniej u siebie nie zauważałam. Rozdrapywałam ją wtedy paznokciem, tym długim i nierówno obciętym.

Toaleta oznaczona złotymi literami WC przyciągnęła mnie od pierwszego dnia ustronnością i zamkniętymi drzwiami. Drzwi innych pokoi pozostały otwarte. Pomyślałam też, że to dziwnie żyć jak rybka w akwarium, w którym filtr nie radzi sobie z długą smagą paprochami samotności i tłustymi okami śmierci. Kiedy ostatecznie się nimi zapycha, woda w akwarium mętnieje, a potem personel ją zrzęcznie wylewa i wpuszcza do akwarium nowy schorowany narybek.

Weszłam do środka i od razu przekręciłam za sobą zamek, ale niczego tym nie zamknęłam. Toaleta miała bowiem dodatkowe, bezpośrednie przejście do jej pokoju. Te drzwi pozostawały otwarte i choć nie poruszyłam się w ich stronę, widziałam, co A. ogląda na wysoko podwieszonym telewizorze, słyszałam, jak prychnęła, czułam, jak śmierdzi. W mdlących oparach wydalonych treści pragnęłam jednak zatamować to, co we mnie żywe, co chciało się wydostać i mnie splamić. Uniżyć do poziomu osób, które nie panują nad swoim ciałem.

Drzwi jej pokoju zamykałam kilkanaście tysięcy lat. Milimetr po milimetrze, szybciej poradziłby sobie z tym byle przeciąg. On mógłby nimi trzasnąć, ale wtedy nie mógł, bo zamknięte okno nie miało nawet klamki. Na próżno poczęłam siłować się z drzwiami, podnosić je na zawiasach. Na darmo wcisnęłam klamkę dłonią tak mocno, żeby żaden mechanizm nie zdążył mnie zdradzić. Przy wypuszczaniu klamki z dłoni, drzwi uchyliły się na trzy centymetry, rozdarły za to żalosnym piskiem. Wszystko trwało kilkanaście tysięcy lat i mniej niż pięć sekund.

Wystarczyło, żeby A. zdążyła nacisnąć czerwony przycisk obok jej łóżka.

Wkurzenie pielęgniarki dało mi trochę czasu, a on wystarczył, żebym mechanicznie wymieniła zużyte na nowe, przedzieliła majtkami tylek na cztery części i wyszła na pustą korytarz. Myślę, że to była moja inicjacja; od tego momentu wyszło we mnie źródło życia, a ja mogłam stać się waznem na komodzie odwiedzanych przeze mnie mieszkańców, obrazkiem nad łóżkiem, zgubionymi okularami. Za zamkniętymi drzwiami, za którymi nie czekał na mnie dyrektor, czasami bywałam ich córką, wnuczką, koleżanką, którą zapamiętali ze szkoły. Kimś najbliższym, choć dopiero co rozpoznany. Kimś bliskim z daleka.

Nareszcie pewna tego, po co tu przyszłam, minęłam pospieszonym krokiem dyszącą ze złości kobietę w białym fartuchu i złapałam obcą mi wtedy jeszcze A. za miękką dłoń obleczoną w cienki, blady naskórek. Wróciłam do niej po raz pierwszy, ale zrobiłam to tak, jakby nie było mnie tylko przez chwilę.

– Już jestem.

Wymazałam pielęgniarkę ze wspomnień, właściwie nie pamiętam, jak zareagowała na moje nagłe wtargnięcie. Nie mogła jednak mnie stamtąd wywalić, skoro odwiedzałam A. przez kolejne trzy lata.

Nauczyłam A. patrzeć w lusterko na parapecie i widzieć to, co za nią, bez odwrócenia głowy. Nauczyłam ją śmiać się szczerze, bo wiedziała, że inny śmiech skomentuję albo upomnę ją, żeby przestała. Śmiała się zatem rzadziej, ale kiedy to robiła, ja również zaczynałam się śmiać. Szczerze. Nauczyłam ją pisać esemesy, rozrysowałam planszę znaków na kartce, unosiłam pomiędzy moimi palcami jej nieruchomy paluch i wciskałam nim wypukłe przyciski. Po sześciu miesiącach dostałam od niej wiadomość zakończoną figlarnym oczkiem. Namówiłam ją do smaku

serowo-cebulowych chipsów (paprykowych celowo nie kupowałam), a ona rozkochała mnie w śledziach (tymi w śmietanie rzadko kiedy chciała się ze mną podzielić). Najchętniej jednak jadłyśmy świeży chleb z masłem, który kupowałam po drodze, albo anyżki w porcji nie większej niż trzy na głowę. Nie chciała siebie i mnie zasłodzić, miały zostać na jutro. Nie wiedziałam wtedy, że niedokończone ciastka, zadania, które przełożymy na raz następny, rzeczy, które obiecałam jej kupić, były haczykiem. Coś trzeba było jeszcze omówić, nad czymś się znowu pochylić.

Następnym razem.

Złapałam.

Koleżanka z dzieciństwa nie przyjechała, a przyjeżdżała zawsze w piątki, żeby A. umyć, więc A. była w sobotę już mocno wkurwiona. Damy się nie wkurwiają, damy prychną, są sarkastyczne, oburzone za grubo skrojoną kromką chleba. Niecierpliwie sięgają po telefon, pospiesznie odrzucają go na koldrę i narzekają. Właściwie to cholernie im niewygodnie. „Czy czujesz, jak śmierdzą?”, pytała mnie w taką sobotę, pytała mnie co godzinę aż do niedzieli. Ciężko było mi oddzielić zapachy, rozłożyć smród na warstwy, bo w pokoju śmierdziało głównie skapującym przez cewnik moczem. Nawet herbata z opuncją smakowała jak szczyny.

– Niczego nie czuję.

Nie obchodziło mnie, czemu koleżanka znowu nie dojechała, ani to, kto teraz umyje A. Zakładałyśmy się za to z ochotą, która para zatańczy na szklanym ekranie najlepiej, obstawiałyśmy błędne odpowiedzi niejednego z dziesięciu. Siedziałyśmy we dwie, wpatrzona w odległy, ciut nierealny punkt. Wierzyłam do końca, że godność i człowieczeństwo zastąpię w jej życiu tanią rozrywką, pożywką dla zdrowych ludzi.

Wycierałam okruszki z dekoltu, który zaczerwieniał się w miejscach niechcący potartych przeze mnie mocniej. Była zbyt krucha na obcowanie z ludźmi. Ich dotyk sprawiał, że pokrywała się siniejącymi wykwitami, jakby nie tolerowała tego, że ktokolwiek śmie ją dotykać. Nie uciekała przed tym świadoma, że jest na to skazana. Nie była naiwna. Wiedziała, że ludzie chorzy, którzy krążą pomiędzy pokojami, robią z nią to, co chcą. Przychodzili, długo z nią rozmawiali, a potem wyjmowali spod jej głowy poduszkę, nakrywali jej twarz koldrą albo chowali z rozmysłem ludzi zdrowych czerwony przycisk pod łóżko. Słyszała na korytarzu ich krzyki, wesole podskakiwanie wprost do jej bram.

Nie zapraszała. Wchodzili sami.

– Czemu nie zgłosisz tego dyrektorowi?

– Słowo przeciwko słowu? Czyje słowo? Moje, ich, a może jego?

– Czemu im na to pozwalasz? – pytałam. – Czemu tego nie zgłosisz? Dlaczego?

– Ja wiem, ty wiesz i oni to też wiedzą. Nigdzie im nie ucieknę.

W ostatnim roku spędzałam z nią każde popołudnie, zostawałam dłużej niż inni odwiedzający. Ciągłe wierzyłam, że im dłużej trwa *tv show*, tym dłużej ja będę mogła tam zostać. Niezauważona stanę się uczestnikiem i jej życia, kimś, kto wygrywa eliminacje i zostaje w domu Wielkiego Brata na zawsze.

Umarła w sierpniu, miesiącu, w którym ziemia jest sucha, powietrze faluje za dnia gorącem, a wieczory są na tyle chłodne, że szuka się bluzy, zanim ramiona zdążą pociąć komary. Umarła w ośrodku ze słowem PROMIEN w nazwie i bez krzty słońca, zanim zamknęła oczy. Umarła przed świtem, czyli w godzinach, kiedy pielęgniarki chrapią najgłośniejszej, a noc kończy swój spektakl nad miastem, wpuszczając w nie pojedyncze smugi światła. Umarła z nieogolonymi nogami, pełnym cewnikiem i wyjętą szczęką.

Umarła, gdy spała. Spała, gdy żyła. Żyła, jakby za chwilę i tak miała umrzeć.

Kiedy weszłam na piętro, moim jedynym zmartwieciem były połamane anyżki, których szczątki przewracały się w torbie i pocierały o siebie zgrzytliwie. Szłam naelektryzowana poczuciem zwątpienia, czy cokolwiek z nich uratujemy, czy starczy ich do momentu powiedzenia sobie, że już za słodko. Dziurawa torba wysypała mi je pod nogi na piętrze, na które codziennie dla niej się wdrapywałam, a ja zaklęłam, a może tylko chciałam to zrobić i jak zwykle wypuściłam z siebie niemą próżnię. Przestraszyłam się, że tak bardzo zależy mi na tym, by donieść te kilka ciastek do A, przestraszona chciałam wyjść i dokupić pół kilo świeżych.

Żałuję, że już wtedy nie wyszłam. Nie opóźniłam momentu, w którym zauważyłam, że na piętrze przewija się za dużo osób, za dużo osób z obcą mi twarzą i zbyt szybkim krokiem.

Podeszłam odruchowo do drzwi jej pokoju, ale były zamknięte na klucz. Zdziwił mnie widok złotej klamki, badałam ją wnętrzem dłoni i zastanawiałam się, czy wcześniej też tu była. Dotykałam jej po raz pierwszy, oddawała

mi ciepło cudzych dłoni. Ciepło wędrowało przez moje ciało, jego komórki napelniały się treścią niedokończonych rozmów, pytań, czy jutro też do niej przyjadę, esemesów, że dziś nie dam rady. Figlarne oczko, ugryzione ciastko, co powiesz na śledzie, czy czujesz jak śmierdzą, nie mówmy już dziś o umieraniu.

## Głos rzeki

Powiedziała, że nie warto walczyć, a potem cierpliwie czekała na to, co zrobię.

Powtórzyłam, że drugi raz nie spróbuję.

Może nie dosłyszała za pierwszym razem, a może niczego jej nie powiedziałam, bo sama w to nie wierzyłam. Pewnie powinnam była to tak długo powtarzać, aż słowa zlałyby się w rwący strumień zaprzeczeń. Zamiast tego jednak obserwowałam jej rozciągniętą do niemożliwych rozmiarów sylwetkę, która w ciemności wydawała się błyszczyć, i pozwalałam, by moje myśli pośliznęły się raz jeszcze na mokrych kamieniach jej dna.

Tak samo jak wtedy, kiedy jeden z nich wymknął się mojej prawej stopie, a ja zanurzyłam się w niej miękko i prawie bezgłośnie. Byłam przez kilka sekund niczym więcej jak tylko żywym miernikiem jej głębokości, którego rzeka miała się w końcu wyrzec. Nie tyle po latach wypłuć, co usunąć z siebie z ręcznie niczym drzazgę. Czymże byłabym dla niej wtedy, jeśli nie żdźbłem w całej jej rozpiętości. Sama nie stanowiłabym nawet ziarenka soli w jej oku.

Niczym nie mogłabym jej zagrozić.

Dryfowałam. Robiłam właściwie to, co nauczyłam się robić już wcześniej w trudnych dla mnie sytuacjach – unosiłam się na powierzchni. Nawet w zupełnej ciemności, kiedy niebo nie wstydliwie niebieskie, a czarne, starałam się szukać pociechy w gwiazdach. Pamiętam, że przyszło mi wtedy do głowy, żeby je wszystkie policzyć, ale wtedy rzeka poniosła mnie za sobą dalej, a ja odpłynęłam wraz z nią w niemożność zliczenia nieskończonego. Ten jeden raz wykroczyłam poza wszystkie znane mi dotąd granice. Gnałam przez miasta i wsie, choć nie poruszyłam nawet małym palcem u stopy.

Gdy pozostał mi po rzece jedynie jej głos i drzenie ciała w przemoczonym ubraniu, instynktownie wzbraniałam się przed tym, żeby raz jeszcze zaryzykować. W całym swoim uporze pozostawałam jednak uległa, jakbym założyła, że sprzeciwiam się rzece tylko do określonego momentu,

a potem i tak do niej wracam. Jako że pozostawiłam w niej sporą część moich myśli, chciałam się dowiedzieć, do kogo dopłyną i czy nurt, który zdołałam zaburzyć, wpłynie na czyjeś życie kilkanaście kilometrów dalej. Wszystko to, co stało się, co stać się mogło, było dla mnie jak urwany i nerwowo spisany nad ranem sen – zbyt ważne, by móc o tym zapomnieć.

Nie pamiętam, po ilu godzinach rzeka oddała mnie ziemi. Przysięgłabym, że po chwili, a jednak nad głową widniało, kiedy obudziły mnie swym szumem trawy. Wiatr dmuchał w nie chłodnym powietrzem, a może to ja w nie dmuchałam do kresu sił, aż padłam.

Leżałam na plecach. Pozwoliłam sobie na bycie i słuchanie, a resztę zmysłów starałam się świadomie wyłączyć. Z trzeciej, najdłuższej, drzemki wybudził mnie trzask złamanej gałęzi i przestraszył tak, że odruchowo wbiegłam do rzeki. Naturalnie lgnęłam do niej w momencie strachu. Rzeka była mi wtedy matką, która pokarmu dla swoich dzieci ma pod dostatkiem.

Otwierała ramiona i znów pozwalała popłynąć dalej na swoich plecach, użyczała mi swojej siły. Może jednak istnieje coś takiego jak pamięć ciała, pomyślałam wtedy z ulgą i beztrudnie się roześmiałam. Wierzyłam, że przemoczona, zamrznięta i przestraszona zostałam przez nią rozpoznana.

Ile dni przepłynęłam, kto mnie z niej ostatecznie wyłowił, nie zależało mi na tym, żeby się dowiedzieć. Nie zobaczyłam w rzece twarzy, a jedynym głosem był jej własny głos, który nawoływał mnie po imieniu. Głos wpływał do mojej głowy prawym uchem, zostawał tam i trwał we mnie, kiedy lewą stronę mojej twarzy pochłaniała podmokła ziemia.

Rzeka zaś płynęła dalej, zabierała i oddawała. Nie mogłam jej niczego dać, wszystkie myśli już przecież oddałam. To, co we mnie zostało, było niczym więcej niż kalką tego, co we mnie pierwotne. Zostałam sama z podrobionymi myślami na ziemi, którą ona już opuściła.

Mokradła żerowały na pozostałych we mnie nieużytkach.

## Wschód wyśniony przed świtem

Wracam przez łąkę, którą przecinają wychudzone zajęce i bezpieczeństwa psy. Nie dziwię się temu, podążam tą samą ścieżką co zawsze. Nie schylałam się, a i tak wiem, że łąka

pachnie w dzień suchą ziemią, a pod wieczór zimnym kamieniem. Idę tak długo, żeby zaciągnąć się pomieszanymi zapachów, złapać wilgotność nadchodzącego wieczoru, kiedy ramiona wciąż nagrzane od słońca. Jeszcze słońce na nieboskłonie. W brzuchu coś muska od środka, trzepocze w jelitach i rozlewa mleko w żołądku, kiedy wracam do domu tą samą drogą co zawsze.

Co zrobię, kto na mnie tam czeka, pomyślę za chwilę.

Nad łąką lecą łabędzie. Nie jestem zdziwiona, choć nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widziała je w locie. Podoba mi się, jak z dramatycznym wdziękiem czarują synchronicznym kluczem na niebie. Wprost pod słońce, w stronę ledwo widocznej linii, za którą wkrótce znikną.

Gdy spadają na ziemię, ich szyje łamią się bezszelestnie na pół.

Podchodzę do nich, wydawałoby się, niepewnie. Może i chciałabym pomóc, a może uciec, ale od obydwu możliwości odwodzi mnie stado groźnie wyglądających dzików. Jakże mogłam ich nie zauważyć za piórami martwych łabędzi, dziwię się sama sobie we śnie, a potem odsuwam się, żeby szczątki zachłapanych krwią ptasich szyi

nie pochłapały mi nagich kostek. Największe z dzików rozkopują raciami doły, w których pochowują łabędzie. Tylko niektóre wydobywają z dziobów zmarłego ptactwa ostre zęby. Kiedy rozsypują je przede mną na trawie jak pęknięty sznur pereł, zęby gubią się, a ja ich nie szukam.

Wpatruję się w szkarłatne łabędzie brzuchy.

Z rozerwanych trzewi wydobywa się na świat kilka szczeniaków. Małe psy z zalepionymi ślepiami zlizują z łap przezroczystą maź, a każde z nich urodzone zostało z widoczną skazą. Bez oka, ogona, dwa z nich bez przednich łap. Ostatnie dwa rodzą się martwe i po chwili znikają pomiędzy dzikami. Żywe wyciągają psie łebki ku słońcu. Kalekie, spragnione ciepła matki, wydają się do mnie z początku lgnąć. Gdy tylko podchodzą na krótkich łapkach bliżej, ich różowe nosy zaczynają się marszczyć, a w końcu odpadać. Podnoszę je i próbuję przykleić do płaskich pyszczków, ale z ich powyrywanych łap zionie pustka. Na ślepiach dostrzegam nierówno stopiony plastik. Nie ważą niemalże nic, są tak puste, że kiedy wołam do nich naprędce wymyślonym imieniem, mój głos odbija się od ich wnętrza, wraca i budzi mnie ze snu.

## KATARZYNA WOYDYŁO (1992)

– absolwentka filologii germańskiej na Uniwersytecie Śląskim i Kursu Pisania Powieści KMLU. Jej opowiadania opublikowane zostały w „Stronie Czynnej” oraz „Tlenie Literackim”. Mieszka w Zabrze.



foto: prywatne archiwum autorki